



Andrzej Adamczyk

Sygnatura notacji: **N1462**

Data urodzenia: **08.05.1950 r.**

Data nagrania: **23.06.2020 r.**

Miejsce nagrania: **studio nagrań Radia Gdańsk, Gdańsk, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Daniel Wojciechowski**

Czas nagrania: **55 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Andrzej Adamczyk, urodziłem się 8 maja 1950 roku w Ciechanowie.

Czym zajmował się pan w sierpniu 1980 roku?

Zawodowo pracowałem w Stoczni Północnej jako mistrz na Wydziale Kadłubowym. Społecznie, prawdę powiedziawszy, niespecjalnie, za wyjątkiem przenoszenia, przekazywania dalej ulotek, które otrzymywałem, dyskusji na temat tego, co się w Polsce dzieje. Jestem tym rocznikiem, który, sześćdziesiąty ósmy rok przeżył w małym miasteczku. To już jak się ma osiemnaście lat, zaczyna się trochę myśleć. W siedemdziesiątym byłem już na studiach w Gdańsku, więc też byłem świadkiem tego, co się tu dzieje. Siedemdziesiąty szósty przecież, tak samo – to już też się dyskutowało w stoczni w różnych kręgach, zresztą niekoniecznie jako tajnie. Zresztą nie przypominam sobie, żebym cokolwiek robił wtedy tajnie, raczej to, co w sercu, to było na języku.

Jest pan współcześnie związany z nurtem piłsudczykowskim. Natomiast czy jakieś załączki, jakieś rzeczy związane właśnie z tym nurtem już w latach osiemdziesiątych się pojawiały pokątnie, tajnie, gdzieś z boku?

Miałem sporo znajomych, którzy byli starsi, albo rodziny, które były jakoś związane, albo pamiętały tamte czasy. Przecież babcia, dziadek, żyli wtedy. Ojciec też tam trochę działał i w czasie wojny, i po wojnie również, więc nawet był szykanowany czy represjonowany, więc to nie było mi obce. Natomiast żebym tym specjalnie się zajmował, to nie powiem, nie, raczej to było tylko: „A Piłsudski to, a Piłsudski tamto”, czyli ogólnie, nie w sensie jakiegś, propagowania

jego idei itd.

To wróćmy do roku 1980 i tym, co miało miejsce wcześniej. Czy wcześniej miał pan jakieś kontakty z nurtem działań niezależnych, przed rokiem osiemdziesiątym? Jakież struktury opozycyjne może, do których pan należał, jakieś kontakty z niezależnym obiegiem wydawniczym, a może jakieś ruchy oazowe, duszpasterstwo, wydawnictwa, albo ktoś z Zachodu, albo rozgłośnie zachodnie.

Nie, nie przypominam sobie, żebym coś takiego robił. Jak się ma trzydzieści lat, młodą żonę, to się raczej nie myśli o takich sprawach, zwłaszcza że też był już syn mały, małe dziecko. Natomiast u nas na wydziale pracował jeden z członków Wolnych Związków Zawodowych, Andrzej Runowski, Kalandziej - było trzech – i Klamrowski, i oni byli w strukturach Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeże, tak się to chyba wtedy nazywało. I przez niego albo przez jeszcze jakichś pośredników, roznoszone były ulotki. I to było od, trudno powiedzieć, po siedemdziesiątym szóstym roku było to na pewno. I te ulotki gdzieś, „Robotnika” najczęściej, czytało się jednak jeszcze wtedy w ukryciu. To nie było tak, że... Czytelne. Pierwszą ulotkę, którą czytałem otwarcie na stoczni, to było 15 sierpnia, gdzie rano przy obchodzie zakładu czy powiedzmy, wydziału i rozprowadzeniu ludzi do pracy, ktoś mi wsunął tę ulotkę, już nie pamiętam kto, i ją czytałem już tego samego dnia, otwarcie, no bo wtedy już, już ludzie stanęli u nas, po Stoczni Gdańskiej, następnego dnia.

W jaki sposób zaangażował się pan w budowanie ruchu „Solidarności” w roku 1980?

Zacznijmy może od tej lipcowej fali strajkowej i później przez porozumienia. Uczestniczył pan w strajkach, pomagał pan w jakiś sposób?

Do nas dochodziły informacje o Świdniku, o Bydgoszczy. Prawdopodobnie Świdnik był najbardziej takim czytelnym... Bo to było chyba w lipcu, więc... Zresztą miałem rodzinę – mam, bo tam jeszcze żyją – rodzinę w Lublinie, więc to do nas dochodziły te informacje, kontakty przecież były. No już nie mówiąc o tym, że – nie powiem, że wszyscy, ale pewnie większość – słuchała radia „Wolna Europa” albo Londynu, radiostacji zagranicznych, pomimo tego, że były zagłuszane. Teść, który wtedy żył, był przygłuchy, więc cała kamienica to słyszała, więc... Zresztą też był represjonowany w latach pięćdziesiątych. Więc nie było to żadne tajne. Jak Stocznia Gdańska stanęła czternastego, tak Stocznia Północna stanęła piętnastego. Ja byłem traktowany jako członek kadry. To było stanowisko kierownicze, więc niespecjalnie robotnicy chcieli z nami się tam fraternizować. Niemniej jednak już po kilku dniach trzeba było obstawić zakład, żeby nie było... Gdyby zapadła decyzja, o której żeśmy mówili też i tacy jak ja, i bardziej doświadczeni koledzy, żeby nie wychodzić z zakładu pracy, bo to się stało w siedemdziesiątym roku i skończyło się jatką na ulicach Gdańska, więc najlepiej będzie, jak się zamknijemy w zakładzie, ale trzeba ten zakład obstawić. Więc wtedy z ramienia już stoczni i komitetu strajkowego... Komitet strajkowy nas przyjął jako tych, którzy organizowali dyżury i obstawę terenu stoczni, żeby ktoś obcy nie dostał się, jakiś dywersant na teren zakładu pracy i oczywiście, żeby też nie było żadnych działań przestępczych czy mało służących idei strajkowej, czyli żadnego alkoholu.

Jak to wyglądało pana oczami?

Opatrzność nas na pewno chroniła trochę, ponieważ była bardzo ładna pogoda, ciepło. Jeżeli był deszcz, to był jakiś przelotny. I oczywiście wszyscy czekaliśmy na to, co się stanie. Natomiast widać było tę pewną taką jedność wśród tych ludzi. Nawet kadra kierownicza, dyrekcja – wszyscy, że tak powiem, byli świadomi tego działania, że... I świadomi tego, żeby nie doprowadzić do jakichś zadrażnień. Każdy wypełniał swoją funkcję, bo dyrekcja miała swoją, komitet strajkowy miał swoją, ludzie też, ale to się nie odbywało na zasadzie wrogości. Negocjacje, rozmowy: to chcemy, tamto chcemy, to dostaniemy, tamto nie dostaniemy itd. Tego nie możemy dać, ze strony dyrekcji, bo oni też mieli swoje rozporządzenia i swoich rozkazodawców. I to był taki bardzo miły okres. A już jeżeli się zakończył podpisaniem tych porozumień, to już była pełna euforia i w tej euforii żeśmy wychodzili. Co nie znaczy, że nie było pewnych elementów, które były no takie, może nie tyle przełomowe, ale rzeczywiście napawały jakąś troską, gdzie Stocznia Gdańska zakończyła strajk w sobotę i gdzie zostały jeszcze inne zakłady, więc myśmy zostali w zakładzie pracy. Elmor został. Zresztą stocznia remontowa, Stocznia „Radunia”, zarząd portu i jeszcze tam kilka zakładów, które były w pobliżu, więc duża grupa robotników strajkowała, „pi razy drzwi” 20 tysięcy ludzi. Nie jest to mało. Więc udało się ten okres przetrwać, przetrzymać, ale zakończyło się pewnymi niesnaskami z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym, który został powołany. Próbowano najpierw powołać Miejski Komitet Strajkowy – takie tam różne próby były. To było chyba z Elmorem robione. Żeby można było kontynuować strajk, bo nie chodziło nam, a przynajmniej u nas w „północnej”, nie chodziło tylko i wyłącznie o sprawy natury ekonomicznej. Postulaty mieliśmy... Chyba było osiemnaście. Pierwszy, to jak zwykle był, chodziło o bezpieczeństwo strajkujących, no ale na czwartym miejscu były Wolne Związki Zawodowe, czyli rejestracja niezależnych od partii. No i oczywiście kilka było takich, które były natury nie tyle ekonomicznej, co politycznej, z przywróceniem dwóch ludzi, którzy byli zwolnieni z pracy, a jeden, Runowski, był relegowany gdzieś tam na zakład, który był na Wiślinie. Żeby ich przywrócić do pracy. Więc, że tak powiem, mieliśmy konflikt z tym MKS-em i wykorzystała to strona rządowa, gdzie wysłała jednego z ministrów, chyba Pykę. Więc próbował rozbić tę jedność, ale to się nie udało, bo rozmowy oczywiście były prowadzone, chyba w Komitecie wojewódzkim albo w urzędzie wojewódzkim, nie pamiętam w tej chwili. Natomiast po dwóch rozmowach, które były w nocy, koledzy, którzy byli delegowani na te rozmowy... Z tych chyba tam było siedemnaście zakładów, które były na tych rozmowach z Pyką. Doszli do wniosku, że Pyka oprócz obietnic nic daje, więc trzeba było się pogodzić z MKS-em i przeszliśmy do MKS-u. I tak to wyglądało w osiemdziesiątym roku. To było koło dwudziestego, dwudziesty pierwszy albo dwudziesty drugi. To była środa, gdzie wróciliśmy z powrotem do MKS-u i już daliśmy sobie spokój. Zresztą takie były opinie w zakładzie, że jednak tylko jednością i nie musimy... Niekoniecznie Pyka jest tą osobą, która powinna rozmawiać ze strajkującymi załogami.

Wspominał pan, że załoga, że robotnicy traktowali pana trochę, na początku, jak ciało obce, bo stanowisko kierownicze. Kiedy to się zmieniło i dlaczego?

Znaczy, chyba atmosfera, która była w czasie tego strajku w sierpniu, chyba to doprowadziło do tego, że... Nie powiem, że wszyscy mistrzowie, ale większość stanęła jednak po stronie załogi. Ja nigdy nie byłem partyjny, więc... Zresztą dziwiłem się, dlaczego nie dostałem nawet propozycji, żeby być... Jak byłem w stanie wojennym złośliwy, to zawsze mówiłem: „Dlaczego? Czy ja jestem jakiś parszywy, że nie dajecie mi takiej możliwości? Ja też bym chciał się Polsce przysłużyć”. Ale to z uśmiechem, prawda, oni... Możliwe więc, że stąd się wzięło, że pomimo tego, że ja rozliczałem tych ludzi, czyli konfliktów mieliśmy mnóstwo na każdym kroku, bo tak to jest w pracy. Z tym że ja oprócz

męża zaufania na wydziale, nie miałem żadnej funkcji związkowej, tak prawdę powiedziawszy, związek nigdy mnie nie interesował.

A które postulaty wynikające z tych porozumień podpisanych w Gdańsku, w Szczecinie, w Dąbrowie Górniczej itd., wydawały się panu wówczas najważniejsze w tym czasie?

Akurat w tym czasie nie było żadnego, który bym ten... Nie wierzyłem specjalnie, że poprzez związek zawodowy możemy cokolwiek zrobić. Był taki, już po zakończeniu strajków, kiedy komitet strajkowy przekształcił się we wrześniu w komitet założycielski, no to na wydziałach były robione listy tych, którzy chcą się wypisać ze związków, chyba to był metalowców, a zapisać się do „Solidarności”. I przyznam się, że się nie chciałem zapisać, powiedziałem, że mnie to nie interesuje, bo w zasadzie interesuje mnie niepodległość kraju a nie dzielenie pietruszki i rozmowy na temat pensji itd. To są rzeczy, które uważałem, że są wtórne i do dalszego działania i dalszego załatwiania, nie na dzisiaj, bo one nic nie dają. Natomiast przekonał mnie jeden ze starszych kolegów, nieżyjący już, co prawda, Edek Czarnecki, który przechodził i lata pięćdziesiąte już, w stoczni, i w sześćdziesiątych, jak to tam było i przez siedemdziesiąte. I on mi powiedział tak:, że... W prostych, jak to mówią, stoczniowych, słowach, powiedział. Nie będę tego przytaczał wprost, ale, ujął to tak, że do tej pory myśmy się buntowali – my jako naród buntowaliśmy się, oni nas tam pacyfikowali, chcieli od nas ludzi do swoich instytucji, do swoich organizacji. Myśmy im dawali najlepszych ludzi w te struktury i następnego dnia już ci nasi najlepsi ludzie byli skorumpowani przez nich i nie mieliśmy żadnego oparcia. A dzisiaj mamy swoją organizację i co z nią zrobimy, to jest tylko nasza sprawa. No i tym mnie przekonał, że przy pomocy tej organizacji nie musimy budować niczego innego. Mamy już tę organizację, czyli przy tej organizacji będziemy mogli robić to, co będzie na trwałe, a na trwałe, no to były zmiany polityczne i zmiany gospodarcze.

Czy jest pan w stanie opisać proces budowania struktur „Solidarności” w swoim miejscu pracy? Jak to wyglądało?

Więc to było stosunkowo proste, bo to było wszystko na fali tego entuzjazmu po trzydziestym pierwszym, kiedy zakończył się strajk podpisaniem tych umów. Gdzie mieliśmy świadomość, że władza nie będzie chciała ich dotrzymać i wycofa się ze wszystkiego, z czego będzie mogła się wycofa. Zresztą w niedalekiej przyszłości, bo w grudniu czy w styczniu już było wiadomo, że trzeba było walczyć o wolne soboty, które rzeczywiście zostały podpisane, a nie zostały wprowadzone. Do komitetu strajkowego zgłaszali się bądź byli delegowani ludzie z poszczególnych wydziałów. Ci ludzie przekształcając się w komitet założycielski, w zasadzie już to była struktura, czyli komitet organizacyjny, założycielski związku na poszczególnych wydziałach. Więc oni dostawali listy i tylko na tych listach się pisało odpowiednie dane: imię, nazwisko i przynależność. Same legitymacje wydawane były chyba później... Czyli jakiś widomy znak, że się do tego należy. I to już był... To już była organizacja, bo kto się zapisał, to był w organizacji. Do tego komitetu założycielskiego zostały dokooptowane tylko trzy osoby, później, poza komitetem strajkowym i z tego większość czy, powiedzmy, może fifty-fifty gdzieś tak było, że większość należała już później do wybranej komisji zakładowej, która była... Chociaż tam było trzydzieści parę osób, a komisja zakładowa liczyła tylko chyba piętnastu czy coś takiego, bo ja sobie zrobiłem taki krótki bilans tego. I generalnie nowych osób... Niekoniecznie byli to ci sami, niemniej jednak ta ciągłość była. Wybory na poszczególnych wydziałach, to najczęściej zostawali ci sami, którzy byli, bo oni... A tak, jeśli chodzi o komisję zakładową, no to już było na wyższym szczeblu, potrzebni

byli ludzie, którzy mieli większą wiedzę, większą determinację, większą możliwość wypowiedzenia się itd. Robotnicy na ogół takiej wiedzy czy, powiedzmy, takich umiejętności, niekoniecznie muszą mieć, bo oni są od... W czym innym się specjalizują. Więc tam były potrzebne osoby bardziej cwane, do negocjacji z dyrektorem, bo wiadomo było, że dyrektor nie jest samodzielny na tym stanowisku. Wszystkie postulaty, łącznie i płacowe, musiał negocjować z komitetem wojewódzkim albo... Z komitetem, bo komitet zakładowy partii, PZPR-u, był na miejscu, ale on też nic nie zrobił bez komitetu wojewódzkiego.

Jak pan wspomina rok 1980? To co działo się przed sierpniem, po sierpniu i w trakcie sierpnia. W swoim życiu, z takiej prywatnej perspektywy. Żona, dziecko, pan i te wydarzenia w Gdańsku.

Byłem raz na przepustce, więc domu nie mogłem poznać, w ogóle inaczej wyglądał. Oczywiście rodziny przychodziły do nas pod bramę, żeby przynosić tam jakąś żywność, chociaż z tym nie było problemów, mieliśmy to wszystko zorganizowane przez MKS i przez służby, które w poszczególnych zakładach funkcjonowały. Zresztą przyjeżdżali ludzie ze wsi, przywozili nam chleb, mięso, jakieś artykuły żywnościowe, więc to... Ten entuzjazm, to był właśnie... Widać było wtedy tę taką jedność, czego prawdopodobnie się przestraszyli komuniści i próbowali to później, w rok później próbowali to rozbić, co im się to niestety nie udało, na szczęście. A tak, to normalnie. W osiemdziesiątym pierwszym roku byłem w Grecji, wyjechaliśmy na wycieczkę. Miała to być wycieczka życia. Ze znajomymi. Dzieci zostawiliśmy... Syna zostawiliśmy u babci. No więc wszędzie, gdzieśmy się pojawili, zwłaszcza Jugosławia, Grecja, nie? Bułgaria też. Byliśmy, Polacy, pięknie przyjmowani. Walesa i „Papa” był na ustach wszystkich. Zaczepiali nas na drogach. Więc naprawdę przyjemny okres to był, chociaż też mieliśmy... Ci Greko-Polacy, którzy w latach sześćdziesiątych uciekali przed reżimem pułkowników, tam byli osiedleni na Podkarpaciu, potem wrócili do Grecji, no to ciągnęli nas na wiece komunistyczne, bo raczej byli komunistyczni, nie? Mieli poglądy. No oczywiście trafiliśmy na barierę, że nie, spokojnie. Wam się lepiej żyło u nas w Polsce jako komunistom, niż nam jako Polakom.

Jednym słowem ten rok osiemdziesiąty wspomina pan z taką nostalgią trochę.

No bez przesady, z nostalgią, ale rzeczywiście jest co wspominać i to są przyjemne wspomnienia. Trudno żeby człowiek wtedy, kiedy miał dużo energii i dużo optymizmu w sobie i miał warunki, że ten optymizm i że te swoje marzenia jakoś tam się zrealizują, żeby nie był zadowolony.

Jaką „Solidarność”, tę z roku 1980, pozostawili państwo swoim dzieciom, wnukom i kolejnym pokoleniom?

No to za daleko pan poszedł, bo w międzyczasie się chyba wszystko zmieniło. Ja się zajęłem działalnością na forum gospodarczym, czyli tworzyliśmy rady pracownicze, czyli samorząd pracowniczy, któremu chyba pozostałem wierny do samego końca, do lat dziewięćdziesiątych, chociaż on ewoluował w jakichś tam szczegółach, nie mniej generalnie cały czas byłem za tym. Osiemdziesiąty pierwszy rok, grudzień, zmienił wszystko. Okazało się, że jest niemożliwe zbudowanie nowego ładu społeczno-gospodarczo-politycznego w warunkach, kiedy jest jedna partia i jest jedna możliwa opcja do zagospodarowania. Za mało było przestrzeni dla takich ludzi jak ja, co zresztą zauważył rząd czy, powiedzmy, komuniści i szybko wprowadzili stan wojenny. Zresztą gdyby były warunki, to wprowadziliby go pewnie

szybciej, wcześniej. Natomiast w tym momencie doszły do głosu już bardziej radykalne pomysły, no i z tych bardziej radykalnych pomysłów coś się, że tak powiem, wykluło. Najpierw trzeba było wygrać tę batalię, więc pierwsze, co w styczniu czy, powiedzmy, w grudniu, to jeszcze było to hasło: „Zima wasza, wiosna nasza”, „Zamiast liści będą wisieć komuniści” – takie tam różnego rodzaju slogany, które oprócz tego, że gdzieś tam nam dawały jakieś zadowolenie psychiczne, niczego nie zmieniały. Samo bicie się na ulicach z zomowcami, z milicją też nic nie dało. W odróżnieniu od siedemdziesiątego roku wojsko nie brało w tym udziału, przynajmniej ja nie widziałem nigdzie, żeby wojsko... Zresztą nawet wojsko żeśmy w tych bitwach wykorzystywali jako swego rodzaju tarczę. W osiemdziesiątym drugim roku, już w styczniu, zaczęły się u nas aresztowania, nawet chyba ktoś został aresztowany u nas, jeden z zatrudnionych w straży, Państwowej Straży Pożarnej. Tam były takie warunki, że straż pożarna była niby państwowa, ale była na etacie stoczni, czyli chodziło o to, kto płaci, gdzie pieniądze biorą. Natomiast podlegała wszystko pod centrum, pod jakieś swoje tam struktury. Jeden z kolegów, Karski, tam właśnie nakłaniał czy, powiedzmy, wzywał ZOMO i wojsko do przejścia na naszą stronę, więc dostał cztery lata. Długo go żeśmy szukali, ponieważ nie dało się tego wykryć, bo nie był na stanie stoczni, tylko był na stanie... No, ale po iluś tam, piętnastu czy dwudziestu latach żeśmy w końcu do niego dotarli. Pierwsze aresztowania, cała komisja zakładowa, która była, w zasadzie została internowana. Drąg, Gołąb, Zajęc, Dębowski – czterech było internowanych. Piąty – Komorski – wyjechał wcześniej, bo miał... I zrezygnował z komisji zakładowej, bo miał groźby ze strony milicji. A ponieważ rodzina trochę miała korzenie bardziej niepodległościowe, w czasach powojennych, więc te groźby wziął na poważnie. I do dzisiaj chyba mieszka w Szwajcarii. Za chwilę, w styczniu były, koniec stycznia były areszty czterech ludzi z wydziału K-2. Aresztowano za rozbicie tablicy PZPR-owskiej, takiej, która wisiała tam gdzieś na korytarzu. Została zdjęta tablica „Solidarności”, informacyjna, natomiast w to miejsce powieszono tablicę PZPR-owską. I oni oczywiście będąc, jak wychodzili z pracy – tam też była druga zmiana. Jak zobaczyli to, to uznali, że to jest profanacja i tę tablicę rozbili. Dostali do dwóch lat. Dwóch kolegów, którzy byli w Komitecie Strajkowym... Komitet strajkowy stoczni był absolutnie poza, w osiemdziesiątym pierwszym roku, w grudniu, był, to byli zupełnie nowi ludzie niż ci, którzy byli w komisji zakładowej, to już na nowo byli wybierani. Tam było chyba tylko dwóch: Józwiak i Balwierz byli z komisji zakładowej i oni próbowali tworzyć komitet, ten strajkowy, z tym że pierwsze skrzypce i tak w negocjacjach odgrywał przewodniczący rady pracowniczej, bo rada pracownicza była zawieszona, ale myśmy się, uzurpowaliśmy sobie prawo do reprezentowania załogi i w zasadzie przewodniczący, Roman Wyżlic, negocjował opuszczenie zakładu i warunki, itd., jak to ma wyglądać z opuszczeniem i z zakończeniem strajku w grudniu '81. To tych dwóch zostało, zanim zaczęli działalność, próbowali jakąś stworzyć strukturę tajną – w lutym już siedzieli. Więc zupełnie bez przygotowania, popełniali błędy totalne. W marcu były chyba dwa kolejne areszty, chyba Reliszko i Potarzyńska. Potarzyńska to długo siedziała, półtora roku chyba, bez wyroku, tak że to... Reliszko to dostała chyba dziesięć miesięcy czy rok. Dzisiaj Reliszko, wtedy Górnik. I jak już wróciliśmy... Myśmy wrócili do pracy tuż po świętach. Stocznia Północna była od samego początku zmilitaryzowana, ponieważ myśmy produkowali, byliśmy stoczną cywilną, ale produkowaliśmy na potrzeby przemysłu obronnego, czyli podlegaliśmy pod Departament Obrony w Ministerstwie Przemysłu. Nas różnego rodzaju ustawy o samorządzie, wybieraniu dyrektora, nie do końca obowiązywały, podlegaliśmy pod inne rozwiązania. I po powrocie, zaraz po świętach, zaczęliśmy się rozglądać, co się dzieje na stoczni. Komisji zakładowej nie ma, ludzie są zwalniani, bo część ludzi została zwolniona, nieprzyjęta w ogóle do pracy. Zresztą mnie się też jakimś psim śwędem udało przez przychylność kolegów, którzy mnie tam gdzieś ochronili i ten, nie? I przez niedopatrzanie dyrektora. I dostałem tę przepustkę, że mogłem wrócić do pracy. I już w styczniu zaczęliśmy się rozglądać, liczyć, kto jest

aresztowany, kto zwolniony, na poszczególnych wydziałach, przy pomocy właśnie tych zawieszonych członków rady pracowniczej. I już na samym początku stwierdziliśmy, że będzie potrzebne zbieranie pieniędzy, no bo te rodziny będą w jakiejś potrzebie. Liczyliśmy się z tym, że będą jakieś potrzebne pieniądze na adwokatów, bo jeżeli ktoś został zwolniony, to będzie się odwoływał, więc my będziemy musieli jakoś wystąpić – nie wszyscy mają kasę. Poza tym to tworzyło pewną taką symbiozę, tę taką, że jesteśmy razem. Ostatecznie ten związek powołaliśmy, jak mówiłem, po to, żeby być razem, że to jest nasza organizacja i przez to w tej organizacji czujemy się, pomimo różnych poglądów i działań, czujemy się jako jedna wspólnota. I zaczęliśmy zbierać pieniądze. Pierwsza zbiórka była tajna i na drugi dzień Roman Wyżlic, jako przewodniczący rady i autor tej zbiórki od razu był wezwany na dywanik do pana dyrektora, ale nie dał się zastraszyć. Też to byli tam, też panowie, z komendy wojewódzkiej milicji czy to ten... To pewnie tam był Urząd Ochrony Państwa. I zarzucili, że zbieramy pieniądze. Więc Romek powiedział, że oczywiście, że zbieramy i to jest legalne. I albo będą wiedzieli, na co te pieniądze idą i będą jawne, albo utajnimy i nie będą wiedzieli. I bez dyskusji wyszedł, tylko poinformował, że tak i tyle. I to jest najlepsza metoda, jak się okazało. No i po tych... Druga zbiórka już była, już wiedzieliśmy, na kogo mamy, bo już było kilka kolegów. Było tych czterech chłopaków, którzy byli aresztowani, bo oni byli pod koniec stycznia, no i oczywiście tych internowanych rodziny. Że trzeba zobaczyć czy dostają pieniądze, do kiedy dostają pieniądze, żeby nie dublować, bo nie chodziło o to, żeby ktoś się na tym dorobił. No i się okazało, że tę zbiórkę żeśmy prowadzili w ten sposób przez półtora roku, do 13 czerwca '82, gdzie było chyba, w osiemdziesiątym pierwszym roku było 3750, jeśli dobrze pamiętam, było członków „Solidarności”, na 4600, cztery i pół, 4600 załogi, no to nas płaciło 3500, czyli prawdę powiedziawszy, prawie wszyscy członkowie „Solidarności” płacili przez półtora roku swoje składki po dziesięć złotych na pomoc innym. Później nas aresztowali, ale to jest dalsza sprawa. Więc tak wyglądała ta nasza „Solidarność”. No jeszcze po tych, jak już aresztowano Balwierza i Jóźwiaka, nie mieliśmy żadnych, żadnych, że tak powiem, ludzi, którzy by tworzyli ten komitet tajnej struktury „Solidarności”, bo nikt się nie garnął albo nie miał predyspozycji, może się bał. Predyspozycji nie miał, bo nie wiedział jak to zrobić, bo ludzie gdyby wiedzieli, jak to mają zrobić, to by to robili. Myśmy mieli kontakty wcześniej już z akowcami. Zresztą przez Janka Wójcika mieliśmy kontakt z AK i z Salmonowiczem, i oni nas trochę przeszkolili, jak mają wyglądać nasze działania. My żeśmy powołali, chyba to było tak gdzieś koło wiosny, zaczęliśmy się, Janek Wójcik zbierał kontakty z zakładami innymi, bo miał takie możliwości jako główny spawalnik, czyli był najlepiej zakamuflowanym działaczem tajnym, który był członkiem najwyższych struktur zarządzających stoczni, bo to było ścisłe kierownictwo stoczni. Informacje mieliśmy od niego wszystkie. I złapaliśmy kontakt z tak zwaną drugą komisją krajową, czyli Harasimowicz i spółka. Byliśmy na kilku spotkaniach, tam było w sumie siedemdziesiąt sześć zakładów, jeśli dobrze pamiętam. Tajność tego była taka, że chyba całe Trójmiasto wiedziało, gdzie się spotykamy, więc nieostrożność była totalna. Harasimowicz potrafił odzywać się do nas po nazwisku, to już w ogóle. Później jeden z naszych informatorów z milicji to nawet powiedział, mówi: „Słuchaj, my wiemy, gdzie kto siedział”. Szybko daliśmy sobie z tym spokój, natomiast na tej bazie powołaliśmy stoczniowy komitet robotniczy. Nadaliśmy sobie pseudonimy, a jakże. I oczywiście poszliśmy na to szkolenie akowców, jak ma wyglądać konspiracja. Zarzucili nam wszystko, co żeśmy praktycznie wymyślali, ale na tej bazie, instruktazu takiego, stoczniowy komitet robotniczy dotrwał do końca, przechował sztandar, pisał gazetki. Oczywiście mieliśmy też i działalność jawną, więc te gazetki były, nie musiały być aż tak dokładne, bo wszyscy by wiedzieli to, co my mówimy, więc tylko jakieś super informacje były, ukazywały się w gazetkach do osiemdziesiątego dziewiątego roku i dopiero w osiemdziesiątym dziewiątym roku, już po zaprzysiężeniu i zatwierdzeniu nowej „Solidarności”, stoczniowy komitet robotniczy się rozwiązał, znaczy

zawiesił swoją działalność, ponieważ nie ufaliśmy do końca. Przekazał sztandar nowym związkom, które też sami, że tak powiem, nową komisję zakładową żeśmy tworzyli jako ten SKR, sami w to nie wchodząc. I dopiero po kilku latach przy okazji jakichś tam publikacji dopiero żeśmy się ujawnili, kto robił, co robił, jak robił. „Solidarność” przez te osiem lat przeszła taką metamorfozę – ja nie bardzo widzę ciągłość. Będę szczery: nie ma żadnej ciągłości. Jeśli chodzi o sprawy pracownicze i tak dalej – nie będę w to wchodził, bo ja z pracą najemną skończyłem w dziewięćdziesiątym roku, potem przeszedłem na swoje, więc na pewno... Zresztą zawsze byłem raczej liberalny, jeśli chodzi o gospodarkę, więc nie za bardzo się zgadzaliśmy. Natomiast są... Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało jakaś tam skarga albo zarzut do dzisiejszej „Solidarności”, ale to my, wolontariat, tacy jak ja, musimy się zajmować ludźmi, którzy zostali bez opieki dzisiaj, a wtedy byli bohaterami, wtedy się narażali, a dzisiaj nie ma się kto nimi zająć, nie ma listy tych ludzi. Bo jeśli chodzi o stocznię, zwłaszcza Stocznia Północną, która dzisiaj jest remontowa, Shipbuilding, no nie ma problemów z opieką czy znalezieniem tych ludzi, chyba że się ktoś gdzieś wyprowadził do jakiegoś Świdwina, którego... Gdzie szukamy kolegi od lat chyba co najmniej pięciu albo sześciu. Natomiast zakład jest, struktura jest i w dużym mieście to jest. A co mają powiedzieć ludzie, którzy pracowali w jakichś małych, drobnych zakładach, które się rozpadły w gospodarce rynkowej, bo tak musiało być i nie mają gdzie się nawet udać. Ci ludzie się narażali wtedy, dawali swoje możliwości tyle, ile kto miał, prawda? Nawet wdowi grosz jest czasem cenniejszy niż te miliony, które tam bogacze dają. Ryzykowali, a dzisiaj to oni... Nie ma się kto nimi zająć, nawet nie ma kto ich poklepać, że dobrze było, albo ten, prawda? I pod tym względem, tak prawdę powiedziawszy, „Solidarność” mnie trochę zawiodła, ta która jest w tej chwili. A w sprawy związkowe się nie mieszam, nie chcę tego oceniać, nie mój problem. Niemniej jednak tego, o czym mówię, nie udało nam się w skali kraju, nawet w skali miasta, Gdańska, nie udało nam się, gdzie chyba „Solidarność” była najsilniejsza. Co tu dużo gadać, jak jeszcze do dzisiaj nie ma monografii „Solidarności” regionu gdańskiego – o czym my gadamy. Się ukazują jakieś książki, które są fragmentaryczne i nic poza tym, za wyjątkiem czegoś, co jest... Chyba Kazański z Gołębem coś tam wydali, jakiś tam o Stoczni Gdańskiej. Już nie mówiąc o tym, że cały czas się traktuje, że region gdański, Stocznia Gdańska to, tak prawdę powiedziawszy, to samo. Nie, to nie to samo.

Zostało nam jeszcze ostatnie pytanie, ale mam wrażenie, że już weszliśmy w jego zakres. Czy chciałby pan dodać coś jeszcze od siebie, podsumować jakoś wydarzenia roku osiemdziesiątego i jego odpryski na czasy późniejsze?

No może... W sumie może o działalności tej, która w... Bo tu... Państwo buduje się nie na ulicy, państwo buduje się w ludziach, w gospodarce, w tym działaniu, nazwijmy to ogólnie, społecznym. Na ulicy można się z kimś pobić, natomiast nic się nie zbuduje, można rozwalić coś. Na ulicy żeśmy rozwalili. Natomiast cały czas to, co mówię... Ja chciałem się zajmować gospodarką, bo tam wiedziałem, że jest, że tam jest siła. Bo gospodarka, jeżeli zbudujemy gospodarkę... Nie mogliśmy wtedy powiedzieć, że... Bo nie było innej partii politycznej, prawda? Jedyna partia, która była wtedy, to było KPS, z którym niekoniecznie żeśmy się zgadzali, zresztą ile ludzi, tyle pewnie poglądów, albo w Polsce pewnie dwa razy tyle. Więc trzeba było od czegoś zacząć, żeby coś rozmontować system, to trzeba rozmontować mu źródła dochodów – proste. Zresztą dzisiaj jest dokładnie to samo, bo jest mnóstwo... Żeby się rząd utrzymał, to trzeba mieć... W takim stanie, w jakim przez ostatnie trzydzieści lat było, bo to nie chodzi o ostatnie pięć lat, to trzeba jak najwięcej mieć przedsiębiorstw państwowych, bo wtedy można łatwo z tego ciągnąć pieniądze. Więc żeby rozmontować, to próbowaliśmy tworzyć samorząd pracowniczy. Samorząd pracowniczy zanim się zaczął,

to się skończył, bo się zrobił stan wojenny. We wrześniu, chyba dwunastego albo dwudziestego drugiego było ogłoszone ustawa o samorządzie załogi przedsiębiorstwa państwowego. Myśmy powstałi chyba... Też chyba we wrześniu były wybory albo w październiku, a w grudniu już nas nie było, więc nawet nie było jak się zacząć organizować. Ale część rad pracowniczych... Nasza rada pracownicza nie podjęła działalności, natomiast część rad pracowniczych podjęła tę działalność. U nas nie, powiedzieliśmy, że z tym nie mamy nic wspólnego, zajęliśmy się, że tak powiem, po pierwsze, mieliśmy już tę działalność jawną, zbieranie... Kasa Wzajemnej Pomocy myśmy to nazywali. W nomenklaturze SB jest to Kasa Zapomogowo-Pożyczkowa, bo myśmy dawali zapomogi, bo płaciliśmy przecież za kolegą. Kasa zbierała trzydzieści... To są dane po aresztowaniu z prokuratury, trzydzieści pięć tysięcy złotych miesięcznie. Czyli po dziesięć złotych, to jest 3,5 tysiąca ludzi płaciło – to co mówiłem – siedemdziesiąt pięć procent załogi płaciło u nas składki, z kierownikami wyższego szczebla włącznie. Mieliśmy wszystkie świadczenia związkowe: urodzenie dziecka, śmierć, zapomogi itd. Kolegia płaciliśmy, udzielając właśnie zapomóg. Nigdy nie musiała, nie mogła ta zapomoga być na 5 tysięcy, jak dostał, tylko na 5100 albo tyle, żeby nie można było powiedzieć, że my płacimy. No to i dzisiaj zapłacenie grzywny za kogoś jest karalne, jest niedozwolone prawnie, wtedy było tym bardziej. I mieliśmy tę kasę przez półtora roku. Przez te półtora roku nie był potrzebny żaden związek zawodowy, nie była potrzebna nam rada pracownicza, nie było nam potrzebne nic. Robiliśmy swoje. W biuletynach, w wiadomościach, które żeśmy wydawali raz na kwartał, raz na miesiąc, to w zależności od tego, jakie były tam potrzeby, wydawaliśmy... Różna jakość tego była, bo nie specjalizowaliśmy się w drukowaniu. Więc przez te półtora roku mieliśmy, prawdę powiedziawszy, jawną działalność i nikt nam nie przeszkadzał. Po naszym aresztowaniu – zresztą za chwilę nas wypuszczono, po dwóch miesiącach, bo była amnestia, a więc chodziło tylko i wyłącznie o to, żeby zlikwidować nam tę możliwość działania, bo objęła nas amnestia. Jak pan pewnie wie, amnestia... Myśmy jej nie przyjęli, ale to nie znaczy, że nie byliśmy... Amnestia jest dla winnych, prawda? Czyli bez wyroku uznano, że nasza działalność była nielegalna i nawet się nie możesz odwołać, no bo nie było takiej możliwości. Myśmy to zaskarżali, ale to tam... No i wtedy rozglądaliśmy się za czym, żeby spróbować to kontynuować. Do końca grudnia '82 mieliśmy tę... '83 – przepraszam, mieliśmy tajną. Znalazł się skarbnik, który te pieniądze zbierał w dalszym ciągu, natomiast już te pieniądze były przechowywane albo w „Brygidzie”, albo w Kurii biskupiej. Tu są dwie opinie, więc nie sprawdzamy, bo nie ma możliwości, bo Franek nie żyje, więc nie ma możliwości sprawdzenia. Jak żeśmy się rozglądali za kolejną formą działania... Również nas interesowała jawna działalność. Więc trafiliśmy w ostateczności do kościoła, do kościoła św. Brygidy i tam wymyśliliśmy razem z księdzem Jankowskim Bractwo Oblatów św. Brygidy. Ksiądz Jankowski miał swoją tam jakąś strukturę Trzeciego Zakonu, gdzie zbierali się na cotygodniowych modlitwach ludzie. I pod to żeśmy podłączyli tak zwaną, jako działalność charytatywną, pomocową i tym sposobem staliśmy się jawną, chociaż niekoniecznie legalną organizacją, która już była, w przeciwieństwie do kasy, już była sformalizowana bardziej, czyli nie wszyscy do nas wchodziłi w sposób, nazwijmy to, jawny. Przyjmowaliśmy ludzi. Ktoś, kto przychodził do nas, składał przyrzeczenie, ale też mieliśmy sympatyków, którzy bez tego przyrzeczenia, tylko się zobowiązywałi do działalności, nazwijmy to, społecznej. I na bazie tego Bractwa Oblatów św. Brygidy żeśmy stworzyli całkiem przyzwoitą organizację, która no już w latach dziewięćdziesiątych, w dziewięćdziesiątych latach skończyła swoją działalność z tego względu, że zabrakło pola dla niej, bo nie była to organizacja kościelna, tylko była społeczna i większość naszych członków traktowała ją jako schronienie i możliwość swojej aktywności, jakiejś takiej społecznej, jawnej i ukrycie swojej działalności tajnej. Tam myśmy nie dopuszczali do tego, żeby tam były ulotki roznoszone oficjalnie itd., natomiast ona służyła do tego, żeby ludzie się ze sobą kontaktowali, przynosili te ulotki, przynosili doświadczenia. No i zaczę-

liśmy obstawiać msze, zaczęliśmy tworzyć na tej podstawie jakieś... Mieliśmy tych ludzi... Daliśmy im szkolenia. Były szkolenia z zasad prawa, prawa pracy, prawo związkowe. Mieliśmy swoich wykładowców. Mieliśmy historię, mieliśmy ekonomię. Ściągaliśmy wszystkich ludzi, z Bieleckim i od tych, tych, powiedzmy, nazwijmy to, socjalistycznych czy lewicowych, jak również i liberalnych. Były też i językowe. I to się odbywało wszystko w kościele św. Brygidy. Też to później przenieśliśmy się ze względu na to, że było nas za dużo, to przenieśliśmy się do, na – dzisiaj na Zatora-Przytockiego, kiedyś Mireckiego, a potocznie zwana „czarna” – do kościoła we Wrzeszczu. To był duży dom katechetyczny i tam mieliśmy swoje spotkania. I z tej bazy wyrodziły się... Kilka osób, które albo w związkach się ujawniły, w strajkach w osiemdziesiątym ósmym roku, albo... No Krzysiek Żmuda przecież jest do dzisiaj chyba jeszcze przewodniczącym Komisji Zakładowej Stoczni Północnej i Stocznię Północną przynajmniej udało się uratować. Złapaliśmy później kontakt, w osiemdziesiątym siódmym roku, złapaliśmy kontakt z radami pracowniczymi i stworzyliśmy Forum Samorządu Pracowniczego. Sejmiki się odbywały. To organizowaliśmy przy pomocy różnych struktur, też i zakładowych, nawet i partię żeśmy ścigali do tego, bo oni przyjmowali od nas wszystkie zaproszenia, ale po pierwszym forum, które się odbyło w Dziwnówku, już do nas nie przyjeżdżali. To było chyba w osiemdziesiątym siódmym roku. Zresztą w osiemdziesiątym siódmym roku już było widać dla takich jak my i trochę przeszkolonych w ekonomii, do czego zmierzają ustawy, jak się nomenklatura próbuje uwłaszczyć i znaleźć wyjście z tej sytuacji, w której się znaleźli, bo widać było wyraźnie, że system się wali. Czego niestety większość związkowa nie chciała dostrzec i tkwiła w... To jest mój punkt widzenia, ale tkwiła w tym właśnie, że tylko i wyłącznie związek zawodowy. Bo rady pracownicze niestety się nie rozwinęły. W Stoczni Północnej też w sumie padła ta rada pracownicza, ale efekt jest taki, że stocznia istnieje, jest w tych samych gabarytach – prawie, bo w dziewięćdziesiątym roku żeśmy wszystko zlikwidowali. Mieliśmy ludzi w stoczni tak... Dzięki również i tym szkoleniom, które żeśmy przechodzili przez... W bractwie. To stocznia w przeciągu trzech miesięcy, jak przejęliśmy radę pracowniczą, w przeciągu trzech miesięcy zrobiliśmy reorganizację. To nie znaczy, że byliśmy geniusze, tylko że poprzednie dwa lata żeśmy odpracowali, nie? To nie jest tak, że się coś dzisiaj zrobi, bo każdy jest mądry. Nie. Wcześniej, w osiemdziesiątym siódmym roku weszliśmy do tej rady, zauważyliśmy, co jest, jak jest i ludzie byli przeszkoleni i przez bractwo i przez dyrekcję, bo tam były pieniądze, prawda? I jak zostali zapoznani i związani z innymi strukturami samorządu pracowniczego, nabrali pewnej informacji. Mało tego, nic się nie uda w zakładzie zrobić bez akceptacji załogi. Czyli jak załoga też wiedziała mniej więcej, o co chodzi, to też się tak nie buntowała jak w Stoczni Gdańskiej na przykład. Że nic, wszystko musi zostać tak, jak było. No i efekt jest taki, że Stocznia Północna funkcjonuje, a Stoczni Gdańskiej – tylko nazwa.

[00:54:57 KONIEC NAGRANIA]